

ADEPT





· A · D · A · M ·
P R Z E C H R Z T A

ADEPT

CZĘŚĆ I

Ilustracje
Przemysław Truściński

fabryka słów®

Lublin 2016

I

· R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·



Nocne powietrze pachniało wilgotnym kamieniem – niedawno ulice obmył gwałtowny jesienny deszcz, na granicy percepcji dawało się wyczuć metaliczną nutkę z domieszką spalenizny jak po przejeździe pociągu. Tyle że w enklawie nie było pociągów. Ani ludzi. No a przynajmniej żywych ludzi...

Rudnicki zerknął z niepokojem na wirujące wokół kłęby mgły. Światło gazowych latarni wydobywało z mroku fantastyczne kształty, mamilo oczy, zwodziło umysł. Latarnie w enklawie świeciły dzień i noc, mimo że już dawno odcięto dopływ gazu. Jednak warszawska enklawa rządziła się swoimi prawami. Jak i wszystkie inne. Na szczęście koniunkcja dotknęła tylko największych miast, w imperium rosyjskim ucierpiały jedynie trzy: Petersburg, Moskwa i Warszawa.

Gwałtowny podmuch wiatru rozgonił mgłę i kałuża odbiła kontur księżycy. Rudnicki zaklął bezsilnie – pełnia. Listopad, a więc Księżyc Łowcy. Tu i teraz nienadzwyczajny prognostyk. Mimo pokrzepiającego ciężaru rewolweru i zamkniętych w butelkach z rżniętego kryształu alchemicznych ingrediencji Rudnicki wolał się nie zastanawiać, komu – jakby co – przypadnie rola myśliwego, a komu zwierzyny.

Zza rogu dobiegł odgłos przypominający zgrzyt żelaza po szkłe i Rudnicki nerwowym gestem sięgnął po broń. Zanim zdążył wycelować, runął na bruk, powalony ciosem w potylicę. Po chwili brutalne kopnięcie przewróciło go na plecy.

– *Wy kto takoj?* – zapytał, mrużąc oczy, żołnierz w mundurze żandarma.

– Al... alchemik. Licencjonowany – dodał Rudnicki pospiesznie. – Moje dokumenty...

– *Leżat!* – warknął tamten, popierając rozkaz ruchem karabinu.

Rudnicki skulił się odruchowo, tupot buciorów świadczył, że żandarm nie jest sam.

– Pokażcie dokumenty – polecił zimny głos po polsku. – I żadnych gwałtownych ruchów!

Bezbłędny akcent świadczył, że nieznajomy – zapewne dowódca patrolu – albo jest Polakiem, albo świetnie zna polski. Jedno i drugie wydawało się równie mało prawdopodobne: do ochraniania granic warszawskiej enklawy celowo wybierano Rosjan i rzadko kiedy na czele patrolu stał ktoś wyższy stopniem od sierżanta czy wachmistrza. A ci nie byli specjalnie wykształceni.

Rudnicki sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął dokumenty, z rozmyślną powolnością uniośł rękę.

– Rzeczywiście alchemik – mruknął nieznajomy. – Licencjonowany. Tylko że licencja wygasła o północy i od kilku godzin jest nieważna.

– *Zastrielit?* – spytał obojętnie żandarm, podrzucając kolbę do policzka.

– Jeszcze nie – odparł dowódca z prawdziwym bądź udawanym wahaniem w głosie. – Kto wie do czego nam się przyda *gospodin alchimik*? Wstawajcie! – rzucił szorstko.

Rudnicki dźwignął się na nogi, z jękiem obmacał głowę. Zacisnął zęby, ujrawszy w świetle pobliskiej latarni szkarłat na palcach. Krew. Jeszcze tego brakowało... Wyciągnął z kieszeni kawałek gazy, skropił ekstraktem z dodatkiem sproszkowanego hematytu.

– Dobrze by było, gdyby ktoś pomógł mi przewiązać głowę – powiedział w przestrzeń.

– Sami nie dacie rady? Mamy was jeszcze niańczyć?

– Beze mnie nie dożyjecie świtu – odciął się gniewnie Rudnicki. – A co do niańczenia...

– Założ mu opatrunek, Matuszkin – burknął niecierpliwie dowódca. – Bo będzie nam tu marudził do rana.

– *Słuszajus', wasze wysokobłagorodie.*

Rudnicki wypuścił powietrze z płuc. Jeszcze raz przyjrzał się dowodzącemu patrolu: trzy gwiazdki, a więc porucznik. Gdzie mu tam do *wysokobłagorodia*? To tytuł przysługujący dopiero od kapitana w górę. Pełnego kapitana. Do pułkownika włącznie. A i oficer jakis

dziwny: regularne, rozumne w wyrazie rysy, skażone tylko złamanym jak u boksera nosem, na oko przynajmniej czterdzieści lat. W tym wieku porucznikiem mógł być tylko zupełny nieudacznik. Tymczasem nieznajomego otaczała aura kompetencji i władzy. Do tego wyśmienia znajomość polskiego... Taaak, najwyraźniej trafił mu się niezwykajny patrol.

Podziękował skinieniem żołnierzowi, zakorkował buteleczkę, ostrożnie włożył ją w przewieszoną przez ramię torbę.

– Jeśli ktoś jeszcze jest ranny...? – zawiesił wymownie głos.

– Ranny? Nie. Co najwyżej kilka zadrapań – odparł obojętnie oficer.

– Trzeba to opatrzyć – westchnął z rezygnacją Rudnicki.

Porucznik parsknął pogardliwie, podwładni zawtórowali mu śmiechem.

– Przeżyjemy – zapewnił Matuszkin, klepiąc Rudnickiego po ramieniu.

– Niedługo – wycedził Polak.

Żaden z żołnierzy nie powiedział nawet słowa, a jednak luźny przecież kołnierzyk alchemika zaczął nagle uwierać, przypominając szubieniczną pętlę.

– Możecie wyjaśnić? – poprosił oficer ze zwodniczą łagodnością w głosie.

– Mamy pełnię – odparł pospiesznie Rudnicki. – I listopad. Nazywają to Księżycem Łowcy. Tu, w enklawie, i na co dzień jest niebezpiecznie. Wystarczy zapach krwi, żeby sprowokować to... co tu żyje. Pełnia pogłębia problem. A Księżyc Łowcy...

Przerwało mu kilka określeń, jakich rzadko używa się nawet w koszarach. Dopiero po chwili Rudnicki zorientował się, że żołnierze przeklinają nie jego, ale własną głupotę.

– Więc dlatego troszczył się pan o opatrunek?

Tym razem w głosie porucznika nie było protekcyjnej nutki, a w zdaniu rosyjskich konstrukcji gramatycznych.

– Owszem. Ten eliksir nie tylko powstrzymuje krwawienie, likwiduje również zapach krwi.

– Opatrzy pan rannych?

– Oczywiście, ale nie tutaj. Lepiej wejść do jakiegoś mieszkania. Musimy porozmawiać.

– To na pewno – przyznał oficer wieloznacznym tonem.

Ruszyli naprzód, przynagleni gestem porucznika. Rudnicki szedł środkiem ulicy, żandarmi zajęli pozycje plecami do ścian budynków. Biorąc pod uwagę, że i oficer, i każdy z trzech żołnierzy dźwigali po dodatkowym karabinie, patrol był mocno zdekompletowany. Nic dziwnego w enklawie...

Stopniowo zabudowa stawała się coraz bardziej nierzeczywista, podając w wątpliwość świadectwo zmysłów. Przysadziste warszawskie kamienice rosły w górę jak gotyckie katedry, na dachach pojawiało się coraz więcej gargulców i chimer z rozdziawionymi w drapieżnym grymasie paszczami, okna przypominały otwory strzelnicze.

– Może tutaj? – zaproponował oficer.

Brama kamienicy zionęła niemal namacalnym mrokiem, niczym wejście do krypty, tuż obok leżała obłana blaskiem pobliskiej latarni gazeta.

– Nie ruszajcie! – rzucił ostro Rudnicki.

– *Gospodin alchimik*. – Porucznik z rewerencją przepuścił go przodem.

– „Kurier Poranny”, kronika kryminalna – przeczytał na głos Rudnicki. – „Wczoraj o godzinie drugiej w nocy wezwane za rogatki Jerozolimskie pogotowie zastało w kałużę krwi robotnika, trzydziestoletniego Michalskiego, z raną kłutą zadaną w okolicę serca. Rannego przewieziono do Szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie wkrótce zmarł”. Idziemy dalej!

– A to dlaczego?

– Bo to ostrzeżenie! – warknął Polak.

– Ostrzeżenie?

Rudnicki westchnął bezradnie: w głosie porucznika nie było agresji, a lufa trzymanego niedbale karabinu celowała w bruk, jednak nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna oczekuje odpowiedzi. Wyczerpującej odpowiedzi.

– Enklawa żyje – odparł alchemik cicho. – Istnieje mnóstwo mniej i bardziej prawdopodobnych teorii na temat jej powstania i właściwości, ale to domena naukowców oraz filozofów. Może teologów... W praktyce najlepiej traktować ją jak teren łowiecki, obszar, na którym przebywają wyjątkowo groźne zwierzęta. Żadne z nich nie pozostawia śladów, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni, jednak od czasu do czasu można natrafić na coś w rodzaju tropu. To – wskazał gazetę – jeden z nich.

– Coś jak ślad wilczej łapy? – odezwał się Matuszkin.

– Owszem. Tyle że w tym przypadku nie wilczej, a raczej tygrysyj.

– Idziemy stąd – zdecydował oficer.

Kolejna brama również nie zachęcała do wejścia, jednak alchemik bez wahania zagłębił się w ciemność.

– Uwaga, schody – ostrzegł.

Drzwi były otwarte, jak zwykle w enklawie, z salonu dochodziły dźwięki walca. Żołnierze błyskawicznie rozbiegli się po mieszkaniu, sprawdzili wszystkie pomieszczenia.

– Nikogo nie ma – zameldował niewysoki, krępy żandarm z zawadiacko podkreślonym wąsem.

– A patefon gra... – wymruczał pod nosem porucznik.

– Niczego nie dotykajcie – uprzedził Rudnicki. – Nie wychodźcie sami z mieszkania. I uważajcie na wszystko, co wyda wam się dziwne.

– Rozumiem, że nie dotyczy to samonakręcających się patefonów albo wczorajskich gazet? – upewnił się oficer.

– Nie dotyczy – przyznał sucho Polak. – A teraz bierzmy się do opatrywania ran. I pamiętajcie, liczy się każde zadrapanie!



Rudnicki zapił suchary herbatą, ponownie przesunął szklankę w stronę samowara. Wąsaty żołnierz nazwiskiem Jerszow odkręcił kurek.

– To na pewno nam nie zaszkodzi? – spytał.

– Nie, żywność przeważnie jest bezpieczna. No, ta normalna...

– Nie rozumiem.

– Lepiej nie jeść tego, co się zabije – wyjaśnił alchemik.

Na twarzy żandarma odmalowało się obrzydzenie.

– Naprawdę ktoś próbował...?

– Bywało – potwierdził Rudnicki. – Niektórzy uważają, że mięso istot żyjących w enklawie ma szczególne właściwości.

– To prawda? – spytał szybko oficer.

– Nie mam pojęcia. – Polak wzruszył ramionami. – Nie zajmuję się magią. Prowadzę aptekę.

Drzemiący do tej pory pod oknem potężnej postury żołnierz uniósł głowę i obrzucił Rudnickiego taksującym spojrzeniem, w którym nie sposób było doszukać się sennego otępienia. Oznaki na pagonach olbrzyma identyfikowały go jako wachmistrza.

– Opowiedzcie, czego tu szukacie, Olafie Arnoldowiczu – poprosił.

Rudnicki odchrząknął niepewnie. Od momentu, kiedy opatrzył żołnierzom rany, ci traktowali go z uprzedzającą, wręcz nienaturalną grzecznością, nieprzystającą do stereotypu prostackiego żołdaka. I zadawali pytania. Inteligentne pytania. Do tego zupełnie nie przejmowali się reakcją porucznika, tak jakby wiedzieli, że nie będzie miał im za złe podobnych indagacji. Nie pytali nawet o pozwolenie włączenia się do rozmowy, co mocno kontrastowało z modelem dyscypliny w rosyjskiej armii. I przecież nie chodziło o lekceważenie dowódcy: wszelkie polecenia oficera spełniali natychmiast i bez słowa sprzeciwu.

– Co wiecie o medycynie spagiryicznej? – odpowiedział pytaniem.

– Niewiele. Nazwa wydaje mi się znajoma i tyle.

– Pewnie chodzi o ogłoszenia w prasie – poddał ze złośliwym uśmiechem Matuszkin. – Wiecie, te obiec-

jące błyskawiczne leczenie wstydliwych chorób. Wachmistrz Baturin czytuje je regularnie...

Baturin odpowiedział nieprzyzwoitym gestem, jednak nie było po nim widać prawdziwego gniewu, jakby docinki podwładnego w ogóle go nie dotknęły.

– Olafie Arnoldowiczu? – ponaglił łagodnie.

– Kiedy to dość skomplikowane...

– Wachmistrz tylko wygląda jak troglodyta, w rzeczywistości potrafi policzyć do dwudziestu bez użycia palców rąk i nóg – wsparł prośbę podwładnego oficer. – A i ja chętnie dowiem się czegoś nowego.

Rudnicki uniósł brwi, ale nie skomentował: żołnierze zainteresowani alchemią? Koń by się uśmieł.

– Jak chcecie. – Wzruszył ramionami. – Samo słowo „spagiryczna” pochodzi od greckich terminów: *spao*, oddzielać, i *ageiro*, gromadzić. W wielkim skrócie chodzi o oddzielenie energii minerałów, roślin czy zwierząt, zebranie jej w lekarstwie i scalenie z energią człowieka. Sam proces jest bardzo skomplikowany i każdy alchemik wykonuje go nieco inaczej, poprzez wielokrotne destylacje, sublimacje, ekstrahowanie, redestylacje...

– Przecież to wariactwo – wtrącił wąsaty Jerszow. – Energia zwierzęca, też coś!

– No dobrze – mruknął Rudnicki. – Spróbuję na przykładzie... Niedawno Polak, Kazimierz Funk, odkrył, a raczej wyodrębnił nową substancję, którą nazwał witaminą. Jeśli brakuje jej w organizmie człowieka, ten zaczyna chorować. Leczenie jest proste, wystarczy uzupełnić niedobory. Samo zjawisko obserwuje się od dawna, choć nie wiadomo dokładnie, czego brakuje chorym. Od setek lat ludzie leczyli szkorbut, jedząc cytryny czy

kiszoną kapustę, a kurzą ślepotę surową wątrobą. Tyle że nie każdy mógłby i chciał zażerać się surową wątróbką... Najlepiej byłoby zmagazynować potrzebny składnik w pigułkach czy, bo ja wiem?... syropie i podać go choremu.

– I tym się zajmujecie? – upewnił się Baturin.

– Niezupełnie. Klasyczna medycyna bada poszczególne składniki wchodzące w skład leku, alchemia podchodzi do tego bardziej ogólnie, nas nie obchodzi, co znajduje się w lekarstwie, grunt, żeby medykament działał. Koncentrujemy się raczej na tym, aby nasycić go jak największą ilością substancji aktywnej i uczynić ją jak najbardziej przyswajalną dla człowieka. Istnieje jeszcze jedna różnica dzieląca nas i lekarzy: medycy uważają, że nie ma żadnego związku między człowiekiem a wszechświatem, my wręcz przeciwnie. Według zasad alchemii każdy organ został ukształtowany przez inne moce: oczy i serce przez energię słoneczną, a na przykład części ciała, które podobno tak interesują wachmistrza Baturina – Rudnicki pozwolił sobie na lekką złośliwość – podlegają wpływom wenusjańskim. Dlatego problemy z sercem będziemy leczyć złotem, a choroby weneryczne związkami miedzi, metalu zarządzanego przez Wenus.

– To działa? – Matuszkin odezwał się z akcentem wątpliwości w głosie.

– Przecież powiedziałem, że prowadzę aptekę. Gdyby moje leki nie pomagały ludziom, nie miałbym klientów.

– Logiczne – przyznał żandarm.

– A wracając do rzeczy: czego szukacie w enklawie? – przypomniał Baturin.

– Tu wszystko jest... szczególne. Bywa, że preparaty spagiryiczne leczą dolegliwości, wobec których klasyczna medycyna jest bezsilna, ale tak czy owak, nie zawsze są skuteczne. Natomiast składniki pochodzące z enklawy... Tu praktycznie nie ma żadnych ograniczeń. Istnieje za to inny problem: trzeba je zebrać i przeżyć.

– Jakie składniki? – zapytał oficer.

– Niemal wszystko – odpowiedział z rozdrażnieniem Rudnicki.

Porucznik był jedyną osobą, która nie przedstawiła się z imienia, *otczestwa* i nazwiska, co zmuszało alchemika do lawirowania w gramatyce. Bo nie miał zamiaru zwracać się do Rosjanina per *wasze wysokobłagorodie*.

– A konkretnie? – Dowódca uśmiechnął się leniwie.

– Wszelkiego typu metale: złoto, srebro, miedź. Rośliny... W enklawie jest kilka ogródków i skwerów, część Ogrodu Saskiego. Do tego...

– To znaczy, że alchemicy kradną własność ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali? – wtrącił oficer.

– *Gospodin poruczik* – wycedził ze złością Rudnicki – jeszcze jedno słowo w tym tonie i zażądam satysfakcji! I może przedstawi się pan wreszcie, do cholery?!

Przez chwilę w pokoju zapanowała pełna zdumienia cisza, żołnierze wpatrywali się w Polaka, jakby wyrosła mu druga głowa, wreszcie ryknęli niepowstrzymanym śmiechem.

– Przedstawcie się, *wasze wysokobłagorodie*, bo *gospodin alchymik* porąbie was szablą, albo i zastrzeli – poradził Baturin, ocierając łzy. – I zostaniemy jak te sierotki bez dowódcy.

Rozwścieczony Rudnicki zerwał się od stołu. Rzucane przyciszonym głosem „Mołczat!” zasyczało zjadliwie, powstrzymało i żandarmów, i alchemika. Żołnierze wyprężyli się w pozycji „na baczność”, a wszelka wesołość zniknęła z ich twarzy jak zdmuchnięta.

– Proszę mi wybaczyć – rzucił z ukłonem porucznik. – Aleksander Borysowicz Samarin. O ile mnie pamięć nie zawodzi, herb Rudnickich to Jastrzębiec?

Blady jeszcze z gniewu Rudnicki przytaknął.

– I mój.

– Nie rozumiem.

– Ja także pieczętuję się Jastrzębcem. Kto wie? Może jesteśmy krewniakami? – dodał Samarin z uśmiechem. – I jeszcze raz proszę o...

Przerwał mu hałas dobiegający z klatki schodowej, żołnierze błyskawicznie sięgnęli po broń.

– Strzelać, jak tylko stanie w progu! – polecił porucznik.

Wyglądała jak kobieta, choć błękitnawy odcień skóry świadczył wyraźnie, że nie należy do żadnej znanej rasy. Była naga, ale jej widok nie wywoływał erotycznych skojarzeń, jedynie uczucie obcości i strach. Paraliżujący strach. Wyśpiewała coś wysokim, podobnym do dźwięku fletu głosem i Matuszkin runął na podłogę, bluzgając krwią z ust i nosa. Rudnicki odpowiedział krótkim zaklęciem, stworzenie wzdrygnęło się niczym przypalone rozżarzonym żelazem i spojrzenie żółtych, kocich oczu spoczęło na alchemiku.

– To demon! – wrzasnął Rudnicki, dobywając niezgrabnie rewolweru.

– *Pli!* – odkrzyknął Samarin.

Pierś kobietopodobnej istoty rozerwały srebrne kule, skóra pokryła się czarnymi plamami, zapachniało zgnilizną. Na chwilę. W uderzenie serca później rany zaczęły zarastać zdrową tkanką.

Żołnierze powstrzymali ją kolejną salwą, zgrzytnęła stal i szabla Samarina przerąbała obojczyk demona. Tym razem rana się nie zamknęła. Upiorne, przeraźliwe wycie zmroziło Rudnickiego do szpiku kości i alchemik chybił sromotnie, strzelając niemal z przyłożenia. Samarin brutalnym chwytem wydarł mu broń i rozniósł kilkoma pociskami czaszkę istoty.

– Co to, kurwa, było?! – warknął, dysząc ciężko. – *Gospodin alchimik?*

Rudnicki podniósł się niemrawo, podszedł do Matuszki.

– Pomóżcie go dźwignąć – poprosił. – Trzeba mu podać lekarstwo, inaczej udusi się własną krwią.

– Dacie radę? – spytał z akcentem wątpliwości Baturin. – Widzieliśmy już takie przypadki, zawsze kończyły się śmiercią.

Alchemik poczekał, aż wachmistrz posadzi kompana, po czym zwilżył wargi nieprzytomnego mężczyzny paroma kroplami pachnącego mirrą i nardem eliksiru.

– Zobaczymy – odparł spokojnie. – Im szybciej poda się antidotum, tym większe szanse.

– Olafie Arnoldowiczu? – ponaglił porucznik. – Może pan odpowiedzieć na moje pytanie?

– Zaraz – wymruczał z roztargnieniem alchemik. – Trzeba się pospieszyć, bo za kilka minut... – nie dokończył. – Szlag! Nie mam narzędzi!

– Chce go pan operować? – Oficer zmarszczył brwi. – Teraz? Bez znieczulenia?!

– Skąd! Mam zamiar wyciąć serce temu tutaj...

– A mówiliście, żeby nie jeść niczego, co się upoluje – przypomniał Baturin.

– Aleksandrze Borysowiczu, użyczy mi pan szabli? – poprosił alchemik, nie zwracając uwagi na żart żołnierza.

– Może lepiej ja sam? – zaproponował dyplomatycznie oficer. – Wydaje mi się, że mam większą wprawę...

– W takim razie proszę przeciąć mostek, w miarę możliwości nie uszkadzając serca.

– Cóż...

Samarin podszedł do zwłok i uderzył znad głowy. Cios otworzył mostek z niewiarygodną precyzją.

– Pomóżcie! – zawołał Rudnicki. – Teraz trzeba rozchylić żebra!

Porucznik i Jerszow, nie wykazując oznak obrzydzenia, pomogli alchemikowi wydobyć z głębi klatki piersiowej stwora pulsujące jeszcze serce.

– Ono bije – zauważył Samarin.

– To tylko odruch, wiecie, jak u kury z odciętą głową.

– Co pan z nim zrobi?

– Spalę na popiół – wyjaśnił Rudnicki, przechodząc do kuchni.

– W celu?

– Tłumaczyłem już: medycyna spagiryiczna wykorzystuje też tkanki zwierzęce.

– Krzyknął pan, że to demon, a wcześniej rzucił zaklęcie...

– Zaklęcie to za dużo powiedziane, nie jestem magiem. To raczej formuła pozwalająca rozpoznać poziom zagrożenia, jaki przedstawia miejscowa... fauna.

– I na ile niebezpieczne było to coś?

– Bardzo.

– Poradziłby pan sobie? Sam?

– Widział pan, jak strzelam – odburknął niechętnie alchemik. – Pomogliśmy sobie wzajemnie.

– Pomogliśmy?! – Jerszow parsknął śmiechem. – Gdyby nie *jego wysokobłagorodie*...

– Gdyby nie moja amunicja, ta dama wypatroszyłaby nas wszystkich – wpadł mu w słowo Rudnicki. – Niczego nie nauczyło was wcześniejsze starcie? Ilu z was zginęło? Czterech? Pięciu?

Samarin zacisnął usta i nie odpowiedział, wpatrzony w żarzący się na żelaznej płycie ochłap mięsa. Serce spalało się błyskawicznie, po kilku minutach pozostała po nim jedynie szczypta czarnego proszku. Alchemik zgarnął go do ostatniej drobinki i umieścił w szklanym flakonie.

– Możemy tu odpocząć? – odezwał się oficer. – Dobrze by było doczekać świtu. A i Matuszkin...

– Możemy. Tylko wywalcie ścierwo przed dom.

– A to dlaczego? Czy zwłoki nie zwabią... padlinozerców?

– Nie. To przesłanie dla istot zamieszkujących enklawę. Coś w rodzaju: „Zabiliśmy największą sukę w okolicy, jeśli chcesz być następny, zapraszamy”...

– Baturin, Jerszow – polecił porucznik, nie podnosząc głosu.

Pospieszny tupot podkutych buciorów świadczył, że żołnierze rzucili się wypełniać rozkaz.



Ze snu wyrwało Rudnickiego delikatne dotknięcie; o dziwo, obudził się natychmiast, choć bywało, że potrzeba mu było kilkunastu minut, aby oprzytomnieć. Być może przyczyniła się do tego zmiana otoczenia, w mieszkaniu nad apteką czuł się bezpieczny, w enklawie wręcz przeciwnie.

– Świta – poinformował Jerszow. – A z Matuszkinem wszystko w porządku. Ocknął się z godzinę temu, tylko jest słaby jak nowo narodzone szczenię.

– Nic dziwnego – wymruczał Rudnicki. – Stracił dobry litr krwi.

– Gdyby nie wy...

– Dajcie spokój. – Alchemik odzęgnął się od podziękowań. – Nie ma sensu się licytować, gdybym był sam, to coś wyprułoby ze mnie flaki.

– To nie jest wasza pierwsza wyprawa do enklawy, prawda?

– Rzeczywiście – przyznał Rudnicki, nie dając jednak dalszych wyjaśnień.

W salonie o walce przypominał tylko nieprzyjemny zapach przywodzący na myśl gnijące mięso. Żołnierze nie tylko wynieśli zwłoki, ale i usunęli plamy krwi. Porucznik powitał alchemika skinieniem głowy, żandarmi wyprężyli się służyć.

– *Błagodariu, gospodin alchimik!* – wyskandował, stając na baczność, Matuszkin.

– Proszę siadać. – Samarin zaprosił Rudnickiego do stołu. – Czym chata bogata...

Tym razem poczęstowano go nie tylko sucharami, ktoś podzielił się też konserwą i puszką skondensowanego mleka. Najwyraźniej jego akcje poszły w górę.

– Co robimy? – zagaił po chwili Samarin. – Jak ocenia pan odległość do granicy enklawy?

– Nie mamy wyjścia, musimy spróbować dotrzeć do muru. Teraz, po wschodzie słońca, jest względnie bezpiecznie, ponieważ większość żyjących tu istot to stwory nocy. Niestety, jest też pewne „ale”.

– Tak?

– Te najsilniejsze można spotkać i w dzień...

– Ile nam to zajmie?

– Czort wie. – Rudnicki wzruszył ramionami. – Od paru chwil do nieskończoności. Według moich obliczeń jesteśmy niedaleko, gdzieś na styku Bielańskiej i Senatorskiej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za godzinę, półtorej powinniśmy być przy murze. Przy czym naprawdę niebezpieczne będzie tylko pierwsze pół godziny: te wszystkie gadziny alergicznie reagują na srebro, większe ilości tego metalu wyczuwają na odległość i żadne nawet nie podejście do granicy enklawy.

Porucznik mruknął potakująco. Wysoki na pięć metrów mur wokół enklawy wzmocniony był grubymi jak męskie ramię srebrnymi prętami. To właśnie srebro pozwalało utrzymać enklawy w ryzach, stanowiąc nieprzenikalną barierę zarówno dla zamieszkujących je stworzeń, jak i ich rozrostu. Stąd i zmiany kursu metali – obecnie srebro było kilkakrotnie cenniejsze od złota i ponaddwukrotnie od platyny.

– Jeśli jesteśmy tak blisko muru, to skąd ta godzina marszruty? Bo wnioskując z mapy, został nam do przejscia góra kilometr.

– I tak, i nie – odpowiedział alchemik, przełknawszy kęs śniadania. – W enklawie mapy są niewiele war-te i dają co najwyżej przybliżony obraz rzeczywistości.

– To znaczy? – Oficer zmarszczył brwi.

– Widział pan, jak wyglądają kamienice? Te wszystkie attyki ozdobione Bóg wie jakimi okropieństwami, dodatkowe piętra...

– Owszem, ale myślałem, że to rodzaj złudzenia optycznego.

– O nie! Bynajmniej. Mógłby pan powiesić się na jednym z tych rzygaczy. One są najzupełniej realne. Tylko że to realność enklawy. Odwzorowanie rzeczywistości sprzed koniunkcji, widzianej okiem jakiegoś zupełnie obcego bytu, z pewnością nie człowieka. Weźmy na przykład mieszkania: ich wyposażenie przypomina to przedkoniunkcyjne, jednak wszystkie przedmioty wytworzyła enklawa.

– Nie rozumiem...

– Proszę podejść do patefonu i opisać mi, co pan widzi.

– Nic szczególnego, patefon jak patefon, moja ciotka ma identyczny.

– Doprawdy? Widzi pan gdzieś nazwę firmy?

– Nie.

– A teraz proszę wyjąć płytę.

Porucznik spełnił życzenie alchemika i zamarł w bezruchu, a Matuszkin przeżegnał się przesądnie – z patefonu nadal dochodziły dźwięki walca „Fale Amuru”.

– Jak to możliwe? – wymamrotał oszołomiony Samarin.

– W enklawie nie ma ani jednej rzeczy, która zostałaby niezmieniona. Ani jednej! – podkreślił alchemik. – Wszystko, co widzimy, to wytwory enklawy. I owszem, podobne do oryginału, ale bynajmniej nie identyczne. Dlatego nie uważam się za marudera – dodał z ledwie zauważalnym odcieniem złośliwości.

– Olafie Arnoldowiczu – westchnął z wyrzutem porucznik.

– Nic, nic, ja tylko tak... Wracając do rzeczy: nie wiadomo, czy ulice wiodące w stronę muru rzeczywiście nas tam zaprowadzą. To się zmienia z dnia na dzień. To co, ruszamy?

– Jeszcze chwilkę. Co jest nie tak z naszą amunicją? Wczoraj w nocy straciłem kilku ludzi, bo srebrne pociski niewiele zaszkodziły stworzeniom, które nas zaatakowały. Tymczasem pańskie momentalnie położyły trupem tego pseudodemonia. No i szable! Teoretycznie posrebrzana stal powinna działać słabiej niż czyste srebro, ale gdyby nie nasze szaszki, żaden z nas by nie przeżył. Co tu się dzieje?

Rudnicki gwałtownym gestem sięgnął po puszkę, dopił resztę mleka, widać było, że nie ma ochoty niczego wyjaśniać.

– Jakie to ma znaczenie? – odburknął. – Niedługo będziemy po tamtej stronie, a ja nie znam się na broni.

– Najpierw musimy przeżyć tę godzinę – zauważył Samarin. – Co będzie, jeśli napotkamy po drodze jakiegoś bardziej wyrośniętego przedstawiciela miejscowej fauny? Nie jestem też pewien, czy problem tkwi w naszej broni. Proszę, Olafie Arnoldowiczu...

– Nie chcę się mieszać w wasze sprawy!
 – W jakie „nasze”, na litość boską?!
 – Takie, które dotyczą garnizonu miasta Warszawy, natomiast nie mają nic wspólnego z alchemią czy aptekarstwem! I po cholere mi dodatkowe problemy? Sami łapcie swoich złodziei!

Przez twarz Samarina przeleciała błyskawica gniewu, oficer z chrzęstem zacisnął pięści.

– Sugeruje pan...

– Ja niczego nie sugeruję! – warknął wyprowadzony z równowagi Rudnicki. – Informuję was uprzejmie, że pułkownik Krugłow to pierdolony złodziej!

– A Krugłow to...?

– Kwatermistrz garnizonu – odpowiedział Polak ze zdziwieniem w głosie. – Nie wiedział pan?

Porucznik skrzywił się, jakby właśnie rozgryzł cytrynę. Wyjątkowo kwaśną cytrynę.

– Dostałem przeniesienie z Petersburga – wyjaśnił. – Nie zorientowałem się jeszcze w sytuacji. Skąd pan wie, że ten Krugłow to złodziej?

– Dopiero co z Petersburga i od razu wysłali was na patrol? Przecież to idiotyzm!

– Raczej nie będę tego komentował – odparł z kamiennym wyrazem twarzy Samarin. – Wracając do Krugłowa: jakie ma pan dowody?

– Poza tym, że regularnie płacę mu łapówki, żeby dostać zezwolenie na wejście do enklawy? Proszę wyjąć nabój, a najlepiej kilka.

Oficer bez słowa sięgnął do przewieszzonej przez pierś ładownicy i rzucił na stół garść naboju.

– A to jeden z moich. Widzi pan różnicę?

– Pański jest jaśniejszy.

– I owszem. Srebro przeważnie miesza się z miedzią, im jaśniejszy kolor, tym większa zawartość kruszcu w stopie. Nie mam przy sobie kamienia probierczego ani chemikaliów, ale wnioskując po barwie, zawartość srebra w waszej amunicji wynosi nie więcej niż trzydzieści dwa złotniki.

Czoło Samarina przecięła pionowa zmarszczka, któryś z żołnierzy zaklął.

– Kiedyś przez nieuwagę kupiłem narzeczonej kolczyki o próbie osiemdziesiąt cztery i dostałem po pysku – powiedział z namysłem Baturin.

– Należało się wam – odburknął alchemik. – To najniższa dozwolona prawem próba.

Żandarmi zarechotali, napięcie zelżało. Na moment.

– Jak by to wyglądało w promilach? – zapytał porucznik. – Dla jasności?

Rudnicki spojrział na niego ze zdziwieniem: na terenie całego imperium zawartość szlachetnych metali oznaczano w złotnikach. A raczej wątpliwe, aby oficer z tak niskim stopniem robił zakupy w Paryżu.

– Najwyższa próba to dziewięćdziesiąt sześć złotników, praktycznie czysty chemicznie metal. Trzydzieści dwa złotniki to trzysta trzydzieści trzy promile. Niestety, na faunę enklawy działają tylko stopy powyżej czterdziestu ośmiu złotników.

– Czyli srebro musi być próby większej niż pięćset? – upewnił się Jerszow.

Alchemik przytaknął.

– Zapiardolę tego gnoja – powiedział niskim, przerażająco spokojnym głosem Baturin. – Tylu chłopaków zginęło. Ja...

Umilkł powstrzymany gestem znaczącym tyle co: „Nie teraz”. Najwyraźniej Samarin nie miał zamiaru prac armijnych brudów w obecności nie dość, że cywila, to jeszcze Polaka.

– Przypuszczam, że szable zabraliście ze sobą z Petersburga, a amunicję wydano wam na miejscu – Rudnicki przerwał niezręczną ciszę.

– Owszem – rzucił posępnie oficer. – Dziękuję za wyjaśnienia. I zapewniam, że nie będzie pan miał żadnych kłopotów. Kiedy tylko zamelduję się w garnizonie, załatwię tę sprawę raz i na zawsze. A teraz w drogę!



Zatrzymali się u wejścia na plac Żelaznej Bramy. Rosjanie bez rozkazu sięgnęli po broń, Rudnicki wyciągnął sporej wielkości butelkę z matowego szkła. Próbował przełknąć ślinę, nie wychodziło. Wziął głęboki oddech, starając się opanować drżenie rąk.

– To najbliższa droga do muru – powiedział, zagryzając wargi, Samarin. – Widać już wieże strażnicze. Jeśli się cofniemy... – nie dokończył.

Od paru godzin krążyli po ulicach enklawy, co chwila napotyając nienaniesione na mapę zaułki i meandrujące donikąd aleje.

– Olafie Arnoldowiczu? Da się go jakoś obejść?

– Wątpię – odpowiedział Polak.

Stwór nawet z oddali wydawał się ogromny. Muskularne, bezwłose cielsko było całkowicie pozbawione płci, jego głowę wieńczyły podobne do byczych rogi. W rękę trzymał krótki, czarny miecz.

– To bydlę ma przynajmniej trzy arszyiny wzrostu – wyszeptał ochryple Baturin.

– I broń – wtrącił Matuszkin. – To demon? Pseudodemon? – poprawił się natychmiast, zgromiony surowym spojrzeniem oficera.

Alchemik potwierdził pełnym rezygnacji gestem.

– Olafie Arnoldowiczu? – ponaglił Samarin.

– Chyba musimy zaryzykować.

– W porządku. Baturin...

– Nie! Ja pierwszy! Wy włączycie się, jak dam znak.

Nie czekając na odpowiedź, Rudnicki wyszedł na plac. Wyciągnął korek, szepcząc coś cicho, wreszcie cisnął butelkę. Odgłos bitego szkła przyciągnął uwagę monstrualnej istoty i stwór zaszarżował, tratując bruk rozdwojonymi kopytami. Naprzeciw wyszedł mu niewyraźny, zamazany kształt przypominający zgęsteczenie ciemności. Ostrze opadło niczym czarna błyskawica, jednak najwyraźniej chybiło, bo plac wypełnił ryk pełen bólu i frustracji, a na brzuchu bezpłciowej istoty pojawiła się bruzda, przez którą bluznęła fala krwi i wnetrzości.

– Teraz! – wrzasnął Rudnicki.

Żołnierze skoczyli naprzód, strzelając w biegu z rewolwerów. Srebrne pociski szarpały ciałem stwora – alchemik rozdzielił pomiędzy żandarmów swoją amunicję – jednak tamten nadal walczył, tkając wokół siebie stalową pajęczynę, nadal rozdawał śmierć.

Jerszow związał szablę z czarnym ostrzem i upadł w tej samej sekundzie z odrąbanym ramieniem. Szaszka Baturlina wgrzyła się w udo potwora, lecz jej właściciel zapłacił za to wysoką cenę: pięść demona pozbawiła go przytomności, a odgłos przypominający trzask pękających gałązek świadczył, że uderzenie skruszyło żebra żandarma.

Samarin uderzył z szerokiego zamachu, starając się ściąć głowę stwora, jednak mimo że w powietrze trysnęła fontanna jasnego płynu, szabla nie przecięła do końca kręgosłupa, tak jakby kark monstrum poprzerastany był zdrewniałymi pędami.

– Matuszkin! – krzyknął rozpaczliwie oficer.

Matuszkin zmylił rogatego pozorowanym natarciem, po czym wykonał zgrabny unik, uciekając przed ostrzem czarnego miecza. Korzystając z okazji, Samarin przecięł ścięgna w nogach demona, o włos unikając morderczego sztychu.

– Strzelaj! – wrzasnął porucznik do Rudnickiego.

Alchemik posłusznie wyjął broń i wypalił, niemal trafiając Matuszkiną.

– Z bliska! – zawył oficer.

Tymczasem demon zaatakował żołnierza: ogromny wzrost i długie ręce zapewniały mu spory zasięg nawet na kolanach. Zaskoczony Matuszkin usiłował zablokować cięcie, jednak czarny miecz rozrząbał stalową klingę, jakby była z papieru, i żandarm runął w tył. Spróbował wykonać przewrót przez bark, ale nie zdążył: krótkie ostrze rozplatało mu twarz i zatrzymało się na obojczyku.

Samarin ciął bestię przez plecy, jednak zdawało się, że nadludzka żywotność stwora nie ma żadnych granic. Cios zadany pazurzystą łapą cisnął oficera na bruk. Pod



skórą demona nabrzmiały sine żyły, a jego rany zaczęły powoli się zamykać, choć nadal broczyły krwią. Zaciśnięwszy zęby, Rudnicki wystrzelił mu w głowę. Miękki srebrny pocisk zmasakrował twarz potwora. Alchemik przytknął lufę do zamienionego w krwawy krater oczodołu i kilkakrotnie nacisnął spust. Na chwilę wszyscy zamarli w bezruchu niczym owady uwięzione w bursztynie, wreszcie demon zwalił się z łomotem na ziemię.

Nie zwracając uwagi na powalonych Rosjan, Rudnicki przeciął tętnicę szyjną stwora i nadstawił manierkę.

– Co pan, do diabła, robi?! – wycedził z wściekłością Samarin. Oficer dźwignął się już z ziemi, porwany na strzępy rękaw munduru i grymas bólu na twarzy świadczyły, że nie wyszedł z walki bez szwanku. Pokryte krwią ramię porucznika przybrało sinoczarny kolor.

– Mam jakieś rany na twarzy? – odpowiedział pytaniem alchemik.

– Lekkie zadrapanie i siniaka.

– To nie siniak, tylko coś w rodzaju gangreny. Błyskawicznie rozwijającej się gangreny. Tak jak i na pańskim ramieniu.

– Ile mamy czasu? – spytał spokojnie Rosjanin.

– Sekundy – odparł równie rzeczowo alchemik. – To bydlę ma pod pazurami jakieś toksyny. Albo coś podobnego. Pseudodemon i pseudotoksyny – parsknął niewesołym śmiechem.

– Co zro...

Samarin umilkł i zamarł jak rażony gromem: Polak pociągnął z manierki spory łyk, przekazał mu naczynie.

– Na co pan czeka? – warknął Rudnicki. – To nasza jedyna szansa. I ich. – Skinął w stronę nieprzytomnych żołnierzy.

– Ja...

– Pij, do cholery!

Rosjanin posłusznie pociągnął łyk, później drugi. Alchemik bezceremonialnie zabrał mu manierkę.

– Może bez przesady? – poprosił. – To najdroższy drink świata.

– Nie rozumiem...

– Nie musisz. Pomóż mi ich dźwignąć, nie chcę, żeby się zakrzusili.

Po chwili Matuszkin otworzył oczy. Baturin nadal leżał bezwładny, ale wydawało się, że lżej oddycha.

– No, temu już nic nie pomoże. – Rudnicki popatrzył bezradnie na Jerszowa.

Żandarm leżał martwy. Jego twarz przybrała odcień nieba o północy.

– A więc i na mieczu coś było – skonstatował ponuro Polak.

– To nas... wyleczy? Ta krew? – upewnił się Samarin.

– Nie mam zielonego pojęcia. Teoretycznie... – Alchemik wzruszył ramionami.

Porucznik zerknął na ramię: skóra przybrała niemal normalny kolor. Zakażenie wyraźnie się cofało. Zaciśnął dłoń w pięść.

– To działa! Nic już nie boli.

– Jasne! Zobaczymy tylko, jakie będą skutki uboczne. Kto wie czy nie pożałujemy, że przeżyliśmy...

- Ruszamy?
- Za chwilę, mamy tu jeszcze coś do zrobienia.
- A jakże – odparł zrezygnowany Samarin. – Mam nadzieję, że to bydlę ma serce tam, gdzie wszyscy – dodał, wyciągając szablę.